

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marji Starezewskiej.

TOM II.

Patrzył na nią poważnie.

— Czy będziesz mógł przewieźć mnie sam jeden przez rzekę do Lonlii?

— My lady, jestem silny jak Ramzes drugi.

— Dobrze. Wybierz małe, lekkie czółno. Jak długo Barondi zostanie?

— Nie wiem.

— Staraj się dowiedzieć. Czy Hanza jest z nim?

Na twarzy Ibrahima ukazał się zły wyraz.

— Hanza, on tam. Ale Hanza bardzo zły chłopiec. Nie mówię więcej do Hanzy.

— Nie zapomnij! Zaraz po obiedzie!

Zamknęła znowu drzwi na klucz.

Wzięła gorącą kąpiel, rozpuściła włosy, narzuciła szlafroczek i położyła się, starając się wypocząć. Lecz pomimo zmęczenia nie mogła spokojnie leżeć. Co chwilę wstawała, wychodziła na balkon i patrzyła za Lonlią. Wzięła lunetę i starała się dojrzeć Barondiego na pokładzie. Lecz nie mogła go zobaczyć. Umieściła leżak na balkonie i właśnie miała na nim się położyć, kiedy usłyszała pukanie do drzwi.

— Ruby!

To był Nigel. Uczuła ochotę otworzyć drzwi, chwycić go za ramiona i wyrzucić go z domu, wyrzucić ze swego życia.

— Ruby!

— Idę! — zawołała.

Zaczekała chwilę chcąc się opanować. Każdy nerw w niej drżał.

— Drzwi zamknięte.

— Wiem. Idę, idę.

Zacisnęła zęby, podeszła do drzwi i otworzyła.

— Wejść, wejść, ty niecierpliwy człowieku!

— Niecierpliwy! Nie widziałam ciebie przeszło dwie doby. A nie mogę się obejść bez Ciebie, Ruby. Dzięki Bogu będziemy dzisiaj razem, sami. Po obiedzie chciałbym, żebyś mi grała.

— Jeżeli nie będę zanadto zmęczona.

— Położymy się wcześniej.

Zamknął drzwi.

— Siadę przy tobie. Chcę zasięgnąć twojej rady co do czeku Isaacsona.

Ciężko westchnął. Trzymał w ręku papier i ołówek. Siadł przy stoliku.

— Muszę się tego pozbyć. Po tem, co zaszło, muszę zapłacić Isaacsonowi, chociaż z drugiej strony myślę, że — westchnął znowu. — Kiedy przybył na łódź, żeby się zabrać do mojej kucyki?

* * *

Dzień przechodził powoli. Czy przejdzie bez jakiegoś historycznego wybuchu, Mrs. Armine nie wiedziała. Czuli, że ledwo panuje nad sobą. Tak długo grała swą rolę, że byłoby zbyt tragicznie przerwać ją marnie teraz, kiedy dramat miał się ku końcowi.

Tego wieczoru musi się skończyć. Siły jej były wyczerpane. Zamierzała powiedzieć to Barondiemu. Musi ją zabrać teraz, lub pozwolić, żeby się z nim gdzieś połączyła. Lecz w każdym razie musi się wyrwać z tego życia z Niglem. Nie była w stanie grać dłużej roli kochającej żony. Potrzebowała największego wysiłku, żeby przeżyć ten dzień bez obudzenia podejrzenia w Niglu. A dzisiaj dziwnie ją obserwował. Oczy jego prawie z niej nie schodziły, patrząc na nią w sposób, którego nie mogła zrozumieć. Nie opuszczał jej ani na chwilę i czasem miała wrażenie, jak gdyby i on był u końca... czego? Czy chciał jej coś powiedzieć?... coś wyznać? Nie wiedziała. Wiedziała tylko, że nie był w normalnym usposobieniu. Parę razy zasłaniała się, co właściwie zaszło między nim, a Isaacsonem. W każdym razie nie prawda, która ją dotyczyła. A będąc tak bardzo zajęta swoim własnym losem, mało dbała o resztę.

Isaacson odszedł, i odszedł nie starając się jej zaszkodzić. To jej wystarczyło.

Wreszcie wśród złotej glori zblżył się wieczór. Widząc zmieniające się niebo, gorące podniecenie i niecierpliwość Mrs. Armine wzmożyły się jeszcze. Teraz, kiedy jej spotkanie z Barondim było tak bliskie, czuła, że nie zniósłaby

nowego opóźnienia. W jaki sposób zdoła uciec od męża, nie wiedziała, lecz nie dbała o to. Z Niglem będzie mogła zawsze uczynić co zechce. Kiedy chwila nadejdzie, będzie gotowa. Była tego pewna.

Starannie ubarwiła twarz. Na policzkach miała delikatne rumieńce, ciemniejsze brwi niż zwykle, bardzo czerwone usta. Użyła wszelkich środków, żeby nadać swej twarzy wygląd młodości. Oczy jej błyszczały. Jasne swe włosy ułożyła w najodpowiedniejszy sposób. Ubrała się w głęboko wyciętą, wieczorową suknię, która uwydątniała śliczną zawsze figurę. I starała się myśleć, że nie wygląda starzej, jak wtedy, kiedy Barondi ją widział po raz ostatni. Lustro zaprzeczało temu, lecz nie chciała mu wierzyć.

W końcu była gotowa i zeszła na ostatni „supplice” jak nazywała obiad sam na sam z Niglem.

Nie był jeszcze na dole i właśnie miała wyjść na taras, kiedy wszedł do salonu ubrany po wieczorowemu. Pierwszy raz od swej choroby ubrał się na obiad i widziała w tem znak, że wkrótce powróci do normalnego czynnego życia. Chory wygląd, który zauważyła w nim rano ustąpił pod wewnętrzznym podnieceniem i nigdy jeszcze jego twarz nie wydawała się jej tak wyrazistą.

I on także patrzył na nią jakby nowymi oczami. Cały dzień wydawał się dziwnie badawczym, nieswoim, chwilami słabym, to znów siłującym się na ożywienie. Obecnie chociaż podniecony, wyglądał jak człowiek, który powziął jakieś mocne postanowienie; i to także było jakby nową oznaką zdrowia.

Spojrzał na jej obnażone ramiona.

— Dla mnie! — rzekł z uczuciem.

Lecz oczy jego zmieniły wyraz, kiedy spojrzały na jej twarz.

— To trudno, musiałam dzisiaj, Nigel — rzekła zimno. Wiem, że muszę wyglądać strasznie po tej całej podróży. Proszę mi na dzisiaj wybaczyć.

— Naturalnie że tak. Bardzo ci jestem wdzięczny, że sobie zadałaś tyle trudu dla mnie, pomimo, że ja... Chodźmy! Obiad już podany.

Podał jej ramię i zaprowadził do jadalnego pokoju.

— A gdzie jest Ibrahim? — rzekła obojętnie, kiedy siedli przy stole.

— Prosił o pozwolenie odwiedzenia swej matki.

— Oh!

Uczuła ulgę. Ibrahim poszedł przygotować felukę. Ciepło ją przejęło. Za parę godzin... może prędzej... zobaczy Barondiego, będzie sama z Barondim. Tak długo czekała! Przez tak wiele przeszła udręczeń! Naraziła się na tyle niebezpieczeństw! W tej chwili wszystko to stało się w myśli — dzisiaj będę z Barondim! — Upajała się tą myślą jak winem. Nie widziała nic po za nią. Nie pytała się, jak ją przyjmie. Wino to napawało ją beztroskliwością, uwalniało od obawy. Uczucie młodości... po raz ostatni może?... podniosło się w niej jak jasny płomień z popiołów. Pozwoliła mu ukazać się Niglowi.

I znowu powiedział:

— Dla mnie!

Powtarzał to sobie i w duchu powtarzał także te straszne słowa, rzucone w twarz człowiekowi, który mu uratował życie.

— Ty kłamco! Ty przekłety kłamco!

Okazało się, że obiad nie był meczarnią, jakiej Mrs. Armine oczekiwała. Rozmawiała, śmiała się, była dowcipną, jak w dawno minionej przeszłości, kiedy czarowała mężczyzn tak umysłowo, jak i fizycznie powabami. A Nigel odpowiadał prawie z chłopięcym zapałem. Jej ożywienie, jej wesołość zdawały się go nie tylko czarować, lecz coś w nim uspokajać.

Obiad się skończył i wstali, żeby przejść do salonu. I nagle pochwyciła ją niepożądana chęć ucieczki. Była pewna, że feluka już czeka na nią na cichej wodzie pod cyplem. Gdyby tylko Nigel został na chwilę w jadalnym pokoju dla wypalenia papierosa, wyszłaby zobaczyć. Nie wsiadłaby jeszcze, naturalnie, dopóki nie poszedł spokojnie na górę do swego pokoju, lecz pragnęła się upewnić, że wszystko gotowe.

— Czy nie wypalisz tutaj papierosa? — rzekła do postępującego za nią męża.

— Tutaj? sam? — rzekł ze zdziwieniem.

— Myślałam, że może zechcesz się napić jeszcze wina — rzekła z pozorną obojętnością.

— Nie. Idę na taras z tobą.

— Na chwilę tylko. Teraz, kiedy niema doktora Isaacsona, powracam do roli pielęgniarki, gdyż inaczej znowu zachorujesz, a wiem, że całą winę złoży na mnie.

— Skąd o tem wiesz?

Głos jego ją zastanowił. Zatrzymała się pod drzwiami.

— Skąd? doktor Isaacson nie wierzy, żebyś była zdolną do czegoś dobrego.

— Lecz ja wierzę.

Znowu zauważyła niezwykle wyraz jego twarzy.

— Tak — rzekła — wiem. Ty jesteś zupełnie inny.

Otworzyła drzwi i przeszła do salonu. W tej chwili usłyszała nubijskich żeglarzy na Lonlii rozpoczynających swą serenadę. (Tak nazywała ten śpiew tego wieczoru). Wyrwała się do tej muzyki, chciała tam biec natychmiast, bez chwili zwłoki. Z trudnością zmusiła się, żeby spokojnie przejść przez pokój. Nigel stanął przy niej.

— Oh! muszę wziąć narzutkę — rzekła.

— Przyniosę ją.

— Nie, nie. Nie powinienesz dużo chodzić. Zmęczysz się.

— Nie dzisiaj — rzekł i wyszedł.

Jak tylko drzwi się za nim zamknęły Mrs. Armine zeszła do ogrodu.

— Ibrahim! Ibrahim! czy jesteś tutaj?

— Tak, my lady.

— Nie mogłam jeszcze zejść. Ale przyjdę, jak tylko będę mogła najprędzej.

— Tak.

Spojrzał na nią i rzekł:

— Nie wiem, co na to powie Mahmud Barondi. Wziął z sobą dziewczynę na łódź.

— Na łódź!

— Na Lonlię.

— Ruby! Ruby! gdzie jesteś?

— Wracaj!... Czekaj na mnie... Czekaj!

— Ruby!

— Jestem tutaj! Idę, Nigel!

XXII.

Spotkała się z nim w ogrodzie opodal od tarasu. Miał na sobie palto i miękki kapelusz i niósł płaszcz dla niej.

— Nie powinnaś wychodzić wieczorem w wyścigiej sukni — rzekł podając jej płaszcz.

Naciągnęła go.

— Ciepło bardzo dzisiaj.

— Zawsze to nieostrożność.

— Teraz ty się zajmujesz pielęgniarstwem. Lecz cała wesołość znikła z jej głosu, całe ożywienie ją opuściło.

— Czy się trochę przejdziemy? — rzekł. — Może pójdziemy na brzeg rzeki?

— Nie, nie. Nie powinienesz się męczyć. Siadźmy, a wkrótce poślę cię do łóżka.

— jeszcze nie zaraz.

— Jestem...

— Nie dlatego, że chciałbym posłuchać twojej muzyki. Zresztą ten hałas byłby jej przeszkadzał. Ale chciałbym z tobą pomówić.

Mimowolny grymas ukazał się na jej ustach, lecz prędko się odwróciła i nie zauważył go. Wrócił na taras pod oświecone okna.

— Siadź tutaj, Ruby... przy mnie.

Usiadła. Musiała siłować w sobie szaloną chęć ruchu i siedzieć spokojnie.

Nigel siadł obok niej. Przez chwilę panowało milczenie.

— Oh! — rzekła prawie rozpaczliwie, ażeby je przerwać — nie piliśmy kawy po obiedzie. Czy chcesz, żeby ci ją jeszcze raz zgotowała?

Mówiła to, gdyż chciała się ruszać, chciała coś czynić. Czuli, że musi czemś się zająć, gdyż inaczej zaczną płakać, krzyczeć.

— Chcesz? — powtórzyła nawpół wstając.

Nigel ułkwił w nią oczy.

— Nie, Ruby, nie dzisiaj.

Opuściła się na fotel.

— Myślałam, że lubisz kawę.

— Lubilem i będę lubił znowu.

Dotknął się jej ręki.

— Tylko nie dzisiaj.

— Jak chcesz.

— My... jest co innego na dzisiaj.

Nie spuszczał z niej oczu.

— Co innego! — rzekła. — Tak... spać. Musisz dobrze się wyspać tej nocy... i ja także.

(Ciąg dalszy nastąpi).